

► Eksperci od nauki języka oceniają, że różnic by nie było, gdyby odśiać wpływ łatwiej dostępnego w miastach Internetu, filmów, a przede wszystkim działających tam szkół językowych. Jest ich w Polsce ok. 3 tys. Według szacunków Polskiego Stowarzyszenia na rzecz Jakości w Nauczaniu Języków Obcych PASE, na kursach doszkała się mniej więcej milion Polaków. Drugie tyle korzysta z pomocy indywidualnych nauczycieli. W dużych warszawskich szkołach na dodatkowe lekcje chodzi często 60–80 proc. uczniów. Wcale to jeszcze nie znaczy, że polska młodzież, nawet ta wielkomięjska, masowo dorównuje Europejczykom. Według opublikowanych wiosną wyników badań 15-latków ESLC (odpowiednik znanych międzynarodowych testów PISA), polscy gimnazjaliści – także ci, którzy douczają się na korepetycjach czy kursach – znaleźli się wśród najsłabszych: poziom A1, oznaczający opanowanie umiejętności najbardziej podstawowych w języku angielskim, osiągnęło 34 proc. badanych. (Podobnie źle jest we Francji).

Wynikałoby z tego, że w szkole – wiejskiej czy miejskiej – dobrze języka nauczyć się nie sposób. Dlaczego?

Dobry się nudzi, słaby nie rozumie

Do niedawna zwykło się wyjaśniać wszystko niewystarczającą liczbą lekcji. Faktycznie, w zestawieniu Eurydice, gdzie zgromadzono dane o nauczaniu języków obcych w szkołach w Europie, jeszcze w 2007 r. Polska, ucząca dzieci obowiązkowego języka obcego łącznie przez 456 godzin w podstawówce i w gimnazjum, łądowała w ogonie krajów UE. Litwini poświęcałi na języki 755 godzin, Duńczycy – 900, a Maltańcy – ponad 1,8 tys.

Od roku szkolnego 2008/09 już nawet polscy pierwszoklasiści uczą się języka obcego, zwykle angielskiego. Na początek dwie godziny tygodniowo, w klasach od czwartej do szóstej – trzy, w gimnazjum – też trzy, a do tego dochodzą obowiązkowe lekcje drugiego języka (przed reformą zaczynały się dopiero w liceum).

Metodocy zalecają, by dzieci, które uczyły się jakiegoś języka, na kolejnych etapach edukacji nie rozpoczynały kursu od zera. W gimnazjum to nawet obowiązek. Jeśli w klasie uczniowie różnią się poziomem, na lekcjach języka powinni być rozdzieleni na grupy liczące do 24 uczniów. To w teorii.

– W mojej szkole klasy liczą 23–25 osób – opowiada Krzysztof Kamil Puścian. – To za mało, żeby upierać się przy podziale klasy na grupy. Stworzenie

10–15-osobowych zespołów, w których optymalnie ćwiczy się komunikację, oznacza, że potrzebny jest dodatkowy nauczyciel, czyli – z perspektywy utrzymujących szkołę władz samorządowych – dodatkowe pieniądze. W wielu szkołach zatem podziału na grupy nie ma. Nauczycielowi pozostaje prowadzić lekcje na poziomie średnim – początkujący nie rozumie, a zaawansowany umiera z nudów. Najpierw należy jednak tę średnią ustalić. Kilka tygodni po rozpoczęciu roku w nowej szkole upływa więc na rozpoznawaniu, kto co umie, połączonym z powtórką. Na ostatniej prostej, w liceum, z tego samego powodu można stracić pół roku albo i rok.

Obsesja oceniania

Kolejna sprawa to nauczyciele angielski. Kuratoria nie przeprowadzają konkursów na testanowiska. Decydują, czy ktoś nada się do szkoły na podstawie dyplomu szkoły wyższej. Nabór do szkół językowych jest natomiast zwykle taki jak w każdej innej firmie komercyjnej: CV, wywiad, testy.

Nauczyciel w firmie dostanie za godzinę lekcyjną średnio 50 zł brutto, w szkole państwowej przeciętnie 36 zł. Ale gdy uwzględnić dodatki, nie są to kosmiczne dysproporcje. Czyli trudno wyciągnąć z tego wniosek, że już na starcie w szkołach językowych lądują najlepsi, a w szkołach powszechnych – marna reszta.

O ile jednak właściciele firm posyłają swoich pracowników już w trakcie pracy na rozmaite szkolenia i konsultacje (na ogół), o tyle państwowemu nauczycielowi zapewniamy ocenę i nadzór. Ocenę najłatwiej przeprowadzić na podstawie... ocen stawianych przez nauczyciela uczniom. I zamiast uczyć, szkoła obsesyjnie ocenia. Grzegorz Śpiwak, wykładowca metodyki z nowojorskiej uczelni New School, robi czasem eksperyment. Pokazuje nauczycielom popodkreślane na czerwono wypracowanie. Co uczeń z tym zrobił – pyta. I odpowiada: wyrzuci. – *Bo co ma zrobić? Proponuję więc, by nie czerwonym, a zielonym markerem zaznaczyć wszystko, co w wypracowaniu było dobrze. Zostanie 20–30 proc. białych miejsc. Trzeba to oddać uczniom. Bez oceny. Niech teraz zrobi resztę tak, by wszystko można było zaznaczyć na zielono. Uczeń ma nowe zadanie, a przy okazji informację, że 70 proc. pracy ukończył dobrze.*

Trudno to jednak rozpowszechnić, bo polski sposób nauczania, przekazywany kolejnym pokoleniom pedagogów, za główny cel stawia sobie walkę z błędem i dążenie do językowej perfekcji. W świecie, w którym tylko jedna czwarta ludzi mówiących po angielsku to native speakers (400 mln na 1,6 mld), językowa